

Tylko do użytku niekomercyjnego

Damon Runyon

Szafa Masarz dogląda dziecka

(Butch Minds the Baby)

Pod pewien wieczór, tak koło siódmej, siedzę w restauracji u Mindiego i właśnie nakładam sobie karpia w galarecie — za którym to daniem nader bardzo przepadam — kiedy do środka wchodzi trzech typów z Brooklynu, w kapeluszach i w kolejności: Harry Koń, Drobnik Izydor, Hiszpański John.

Otóż te typy nieszczęśliwie są w typie, z którym chciałbym prowadzić jeden wózek, bo często gęsto słyszę o nich pogłoski ujmujące, nawet jeżeli te pogłoski kłamią. W rzeczy sumie słyszę, że wielu mieszkańców Brooklynu poczuje radość w duszy, kiedy Harry Koń, Drobnik Izydor i Hiszpański John się stamtąd wyniosą, bo oni wiecznie majstrują przy sprawach, które stanowią cios w serce społeczności lokalnej, na ten przykład rabują ludzi, strzelają ludzi, dźgają ludzi, podrzucają im ananasy i tak dalej w ogóle i szczególe.

Jestem nie na żarty zdziwiony widząc tych drabów na Broadwayu, bo każdy wie, że gliniarze z Broadwayu wprost uwielbiają podejmować czynności na widok takich. Jednak ci tutaj są u Mindiego i ja jestem u Mindiego toteż nader bardzo ich pozdrawiam, nie chcąc uchodzić za osobę nieprzystępną, nawet wobec typów z Brooklynu. I patrzcie ich, podchodzą prościutko do mojego stolika, zasiadają za nim, a Drobnik Izydor zasięga paluchami znaczny fragment mojej ryby, czemu okazuję obojętność, bo to ja używam jedynego noża przy stole.

Potem oni siedzą i patrzą na mnie bez słowa, a sposób, w jaki patrzą, przyprawia mnie o spięty nerw czy dwa. Kto wie, wpadam nareszcie na myśl, może są ciut onieśmieleni w tak wytwornym lokalu jak u Mindiego, pośród i obok tylu praworzędnych obywateli. Toteż mówię, ale nader nader grzecznie:

– Śliczna dziś noc.

– A co w niej niby ślicznego? – pyta Harry Koń, chudy osobnik o ościstej twarzy i ościstym spojrzeniu.

Nu, po takim wywodzie muszę zwątpić w śliczność nocy, tej nocy. Więc zaczynam myśleć, co zabawnego jeszcze dorzucić, gdy tymczasem Drobnik Izydor nie przestaje zasięgać paluchami moją rybę, a Hiszpański John przywłaszcza sobie ziemniaka.

– Gdzie mieszka Szafa Masarz? – pyta Harry Koń.

– Szafa Masarz? — mówię udając, że nic mi to nie mówi. A to dlatego, że w naszym mieście ludnym jest bardzo pod prąd rozsądkowi odpowiadać na pytanie, zanim się tego pytania nie przemyśli wzdłuż i wszerz. Może się przecież zdarzyć, że ktoś udzieli właściwej odpowiedzi niewłaściwemu człowiekowi, albo niewłaściwej odpowiedzi właściwemu człowiekowi. Toteż dopytuję się samego siebie jeszcze raz — Gdzie mieszka Szafa Masarz?

— No, gdzie gość mieszka? — mówi Harry Koń, nader niecierpliwie — Masz nas do niego zabrać.

— Kiedy to nie jest taka pestka, Harry — odpowiadam i robię się nerwowy, nerwowy więcej niż ciut — Wiesz, nie jestem pewny, czy pamiętam dość szczegółowo, pod jakim adresem Szafa Masarz mieszka, a w dodatku nie jestem pewny, czy Szafa ukaże dobroduszość, kiedy mu przyprowadzę gości, zwłaszcza trzech gości naraz i zwłaszcza z Brooklynu. Wiesz przecież, że Szafa Masarz jest psychologicznie niemiły i strasznie trudno przewidzieć, co pośle z ust w mój kierunek, jeżeli nie spodoba mu się pomysł, że przyprowadzam ja, was i do niego.

— Wszystko jest gites i koszer na pesach — mówi Harry Koń — Nie masz się czegokolwiek i dlaczegokolwiek bać. Mamy interes, na którym Szafa Masarz może zgarnąć niezłą sumkę, więc zaraz do niego idziemy i ty nas prowadzisz, albo wzrośnie prawdopodobieństwo, że będę musiał na kimś wyrzucić presję ręczną.

Otóż w danych okolicznościach czasoprzestrzeni jedyny człowiek, na którym Harry Koń może wyrzucić presję ręczną, to akurat ja, wskutek czego dostrzegam korzystne strony zabrania tych typów do Szafy Masarza, tym bardziej że ostatni kęs ryby z galaretą właśnie zapada w przelyk Drobniaka Izydora, a Hiszpański John dokańcza moje ziemniaki i macza wafel ryżowy w mojej kawie, tak że jedzenie widzę już tylko w menu.

No i prowadzę ich w okolice dziesiątej alei, na czterdziestą dziewiątą po zachodniej stronie, gdzie Szafa Masarz mieszka na parterze starej czynszówki z brunatnym frontem, we własnej osobie zasiadając na schodach przy wejściu. W rzeczy sumie, wszyscy okoliczni mieszkańcy, nawet kobiety i dzieci, zasiadają na schodach przy wejściu, bo zasiadanie na schodach przy wejściu jest tak jakby zwyczajem w tej dzielnicy.

Szafa Masarz znajduje się w podkoszulku i gatkach a stopy ma bosc, bo to osoba lubiąca własną wygodę. Ponadto pali cygaro a obok niego, na schodach, na kocyku, leży małe dziecię, które jest niezbyt odziane i wydaje się spać. Szafa Masarz od czasu do czasu puszcza nad nim w ruch zwiniętą gazetę, bo szuuu gazety odpędza komary, które chcą dziecię poskubać. Te komary przylatują w gorące noce zza rzeki, od strony Jersey, i chyba nader lubią dzieci.

– Cześć, Szafa – mówię, kiedy zatrzymujemy się pod schodami.

– Óóóó! – mówi Szafa pokazując na dziecię i robiąc więcej hałasu swoim óóóó niż kocioł wybluzgujący parę z zaworów. Potem wstaje i na paluszkach cyt cyt opuszcza się na wysokość chodnika, gdzie stoimy. Żywię nadzieję, że Szafa Masarz jest akurat w dobrym samopoczuciu, bo kiedy nie jest w dobrym samopoczuciu, lubi skracać dystans fizyczny do rozmówcy i

otoczenia. A gość ma wieszak na wysokości sześciu stóp, dwudrzwiową szerokość, wielkie włochate łapska i wygląd nie na żarty o nie nie.

W rzeczy sumie Szafa Masarz znany jest na mieście jako indywidualność, której nie wolno w żaden sposób drażnić, więc spory kamień spada mi z serca, kiedy widzę, że chyba zna tych drabów z Brooklynu i macha do nich nader przyjacielsko, zwłaszcza do Harrego Konia. Wtedy Harry Koń stawia Szafie zaskakującą propozycję.

Wygląda na to, że jest sobie duże przedsiębiorstwo. To przedsiębiorstwo robi w węglu i ma biuro w starym budynku na osiemnastej zachodniej, a w tym biurze sejf, a w tym sejfie dwadzieścia tysięcy zielonych w gotówce na wypłatę dla robotników. Harry Koń wie, że gotówka tam siedzi, bo jeden z jego osobistych znajomych, który pracuje starszym kasjerem w dużym przedsiębiorstwie, wsadza ją do sejfu akurat tego popołudnia.

Wygląda na to, że ten osobiście znajomy kasjer ubija interes z Harrym Koniem, Drobnikiem Izydorem i Hiszpańskim Johnem i ma być rąbnięty popołudniem w drodze z banku do biura, przy niesieniu gotówki. Ale coś widocznie nie styka z miejscem, gdzie ma nastąpić rąbnięcie, więc kasjer musi zanieść sałatę do biura bez rąbnięcia i teraz ona sobie siedzi w sejfie, w dwóch grubych paczkach.

Słucham Harrego Konia i mam już podgląd osobisty na całokształt sprawy. Myślę, że ten starszy kasjer musi być nader niegodziwą postacią skoro godzi się siedzieć cicho, kiedy go rąbią i zabierają sałatę na wypłatę, ale oczywiście nie włączam się w rozmowę, bo to jakby nie mój interes.

Otóż wygląda na to, że Harry Koń, Drobnik Izydor i Hiszpański John chcą wydostać forszę z sejfu, jednakowoż w ząb nie mają obycia z rozbieraniem sejfów i kiedy tak stoją na Brooklynie rozprawiając między sobą o rozpaczliwości sytuacji, Harry Koń nagle sobie przypomina, że Szafa Masarz żyje ongiś z rozbierania sejfów.

W rzeczy sumie, ciut potem słyszę, że Szafa Masarz uważany jest za najlepszego fachurę od rozbierania sejfów na półtusze, przynajmniej swego czasu i na wschód od Mississipi. Ale cóż począć, wymiar sprawiedliwości w końcu zaczyna pakować Szafę do Sing Sing za rozbieranie tych sejfów. Po trzeciej przeprowadzce powietrze — Sing Sing, Sing Sing — powietrze, Szafa ma już tego kojca dosyć i wyżej dziurek w nosie, zwłaszcza że ktoś przepycha tak zwaną kratownicę Baumesa czyli ustawę o recydywistach i w stanie Nowy Jork zaczyna się liczyć do czterech: kto idzie siedzieć czwarty raz pod rząd, dostaje dożywocie bez dalszej pyskusji, w myśl zasady „cztery kreski — kratka i nie ma gatka”.

Na skutek kratownicy Baumesa Szafa Masarz przestaje się utrzymywać z rozbierania sejfów i wchodzi w skromniejszy biznes, czytaj piwo a niekiedy szkocka, i zostaje uczciwym obywatelem. Do tego żeni się z jedną taką łanią z sąsiedztwa, Mary Murphy o ile pamiętam, i wnioskuje, że dziecię na schodach jest owocem ich związku, bo wygląd ma swojsko ciosany. Chociaż, tak prawdę mówiąc, nie mam aż tylu okazji, żeby przyglądać się dzieciom, które na wygląd oceniam jako cud geranium róży kwiat.

Słowo do słowa okazuje się, że Harry Koń, Drobniak Izydor i Hiszpański John chcą nakłonić Szafę, żeby otworzył przed nimi sejf przedsiębiorstwa robiącego w węglu, a za fatygę oferują pięćdziesiąt procent leżącej w środku wypłaty. Drugie pięćdziesiąt procent chcą wziąć dla siebie za zlokalizowanie interesu i przekaz zaliczki inwestycyjnej na kieszeń starszego kasjera, co im odchudziło portfele. Ja taki układ postrzegam jako strzeliście uczciwy, ale Szafa Masarz kręci głową.

– Tak się robi w dawnych czasach — mówi Szafa — Dzisiaj nikt nie wyżyje z otwierania stalówek. Po prostu robią za dobre stalówki, całe odrutowane alarmami i strasznie ciężkie do ugryzienia. Siedzę w legalnym biznesie i jakoś ciągnę ten kram. Przecież wiecie, chłopaki, że mam na koncie już trzy wpadki a każda następna to będzie cześć pieśni. Poza tym muszę się opiekować małym. Moja kobita jest dzisiaj w Bronksie, na nocnym czuwaniu przy trumnie madam Clancy, i pewnie będzie tam czuwać przez całą noc, bo ona uwielbia nocne czuwania. Więc mnie wypada opieka nad Johnem Loyolą Juniorem.

– Słuchaj, Szafa – powiada Harry Koń – Ta stalówka jest miętka, starego typu i taki fachman jak ty wykałaczką dziada otworzy. Nie ma żadnych drutów, bo przez lata trzymają w środku nic tylko kurz i ćwierć dolca. Dzisiaj muszą tam włożyć na noc pełne dwadzieścia kawałków, ponieważ mój osobiście znajomy kasjer skutecznie robi co może, żeby zamknęli bar, zanim przyniesie sałatę ze spiżarki, zwłaszcza kiedy widzi, że na mieście się rozmijamy. To będzie najmiętsza robota w twoim życiu. No powiedz sam, znasz kogoś, kto łatwiej zgarnie dziesięć tyści-tycich?

Widzę, że Szafa Masarz nader poważnie myśli o dziesięciu tyści-tycich, bo kogo w tych czasach stać na zrezygnację z dziesięciu tyści-tycich, a już zwłaszcza członka branży piwnej, który ostatnio ledwie zipie ledwie dycha. Ale koniec końców Szafa znowu kręci głową i mówi w następujący deseń:

– Nie – stwierdza – muszę odpuścić, bo muszę się opiekować małym. Moja kobita jest na ten punkt okropnie cięta i nie zostawiam Johna Loyoli Juniora na minutę sekund dwie. Jak Mary wróci do domu i zobaczy, że nie siedzę przy dziecku, będzie pieruńsko, ale to pieruńsko zła. Nie powiem, lubię sobie dorobić na boku, bo kto nie lubi. Ale John Loyola Junior ma u mnie fory i pierwszeństwo.

Potem Szafa Masarz pokazuje nam plecy i idzie zasiać na schodach, co jako żywo wygląda na postawienie kropki po dyskusji. Kiedy zasiada obok Johna Loyoli Juniora zdąża jeszcze uziemić komara, który akurat robi skok na nóżkę małego. Widać wszem i wobec, że Szafa bardzo kocha to dziecko, chociaż ja osobiście nie dałbym centa za tuzin dzieci płci dowolnej.

No więc Harry Koń, Drobniak Izydor i Hiszpański John są nader zawiedzeni i rozmawiają między sobą, nie poświęcając mi uwagi, gdy wtem Hiszpański John, który dotąd się nie udziela, wpada na jakiś świetlany pomysł. Sprzedaje go pozostałej dwójce, uśmiech wypływa im na twarze i wreszcie Harry Koń podchodzi do Szafy.

– Ćśśś – mówi Szafa Masarz pokazując palcem dziecko, gdy tylko Harry otwiera usta.

– Słuchaj, Szafa – szepta Harry Koń – Możemy przecież zabrać małego ze sobą i będziesz go doglądać przy robocie.

– No, jest w tym ździebko myśli – odszeptuje Szafa Masarz – Wejdźmy do mieszkania i przedyskutujmy sprawę.

No i zabiera dziecię i prowadzi nas do swojej gawry, gdzie wyciąga całkiem niezłe piwo, chociaż to piwo jest ciut ciut szczepione. Potem siedzimy dookoła kuchni gwarząc szeptem, bo w tej samej kuchni stoi kołyska, do której Szafa kładzie juniora, i kiedy tak sobie gwarzymy junior ma sen prima sort gwarancja luks. W rzeczy sumie śpi tak zdrowo, że zaczynam podejrzewać, że Szafa i jemu musi dawać krzynkę szczepionego piwa, którym nas raczy, bo sam się czuję jakiś ociężały i senny.

Na koniec Szafa Masarz mówi, że jeśli tylko może wziąć Johna Loyolę Juniora ze sobą, nie widzi przeszkód dla pójścia i rozebrania sejfu. Prawda, potrzeba mu dodatkowych pięciu procent utargu, a to na rachunek oszczędnościowy małego, bo jeśli małżonka szanowna odkryje, że wystawia się jej synka na nocne powietrze, będzie psioczyć i on musi mieć balsam, żeby psioczenie zasmarować. Harry Koń sądzi, że pięć procent już lekka granda, ale Hiszpański John, który wydaje się być człowiekiem z licznymi zasadami, stwierdza, że skoro dzieciak bierze udział w skoku, doła mu się należy. Drobniak Izydor przyznaje mu słuszność i Harry odpuszcza, wyrzeka się tych pięciu procent.

Ponieważ nie chcą zaczynać przed północą, a do tej godziny czasu jest więcej niż ciut, Szafa wyjmuje kolejną porcję piwa szczepionego a sam idzie szukać narzędzi do rozbierania sejfów. Tych, zapewnia, nie widzi na oczy od dnia narodzin Johna Loyolę Juniora, kiedy musi je wyciągnąć celem montażu kołyski.

Tu następuje dobry moment dla mnie, ażeby się pożegnać ze zgromadzonymi wkrąg, pożegnać zbiorczo i z osobna. Do dziś nie wiem, co mnie tam trzyma, bo nigdy wcześniej nie myślę o własnym udziale w rozbieraniu sejfu, zwłaszcza z dziecięciem przy piersi, i o takich numerach mam złe mniemanie, w ogóle i szczególe. Rozważając to wszystko gdy jest już po wszystkim stwierdzam: wpływ piwa szczepionego ma tu prawdopodobnie wpływ na ciąg przyczynowo skutkowy i sam się sobie dziwię, kiedy około pierwszej nad ranem znajduję się w taksówce z brooklyńskimi drabami, Szafą Masarzem i dziecięciem.

Szafa Masarz trzyma Johna Loyolę Juniora zawiniętego w kocyk, a Hiszpański John wciąż gniecie małemu ucho. Szafa wynosi też torbę z narzędziami i coś, co przypomina dużą, płaską książkę. Zanim wychodzimy z domu, wręcza mi ten pakunek i każe się z nim obchodzić jak z porcelaną chińską. Drobniakowi przydziela mniejszą paczkę. Ten ją chowa do kieszeni spluwnej i wsiada do taksówki. Rozlega się taki owczy dźwięk mee mee, co bardzo wpienia Szafę. Okazuje się, że lalka Johna Juniora mówi meme, kiedy ją pocisnąć, a teraz właśnie Drobniak Izydor pociska ją osobistym tyłkiem.

Wygląda na to, że Szafa Masarz wcześniej obmyśla, czym ma się bawić John Loyola Junior jeżeli się przypadkiem obudzi, i Drobniak ma furę szczęścia, że nie rozgniata lalki ani jej memedynksu, bo inaczej zarobiłby w cyferblat.

Odprowadzamy taksówkę pełną przecnicę za miejscem pomiędzy siódmą a ósmą aleją, do którego zmierzamy. Na osiemnastą po zachodniej stronie przemykamy dwójkami. Ja idę w parze z Szafą Masarzem niosąc swój pakunek, a Szafa taszczy dziecię, torbę i płaską książkę-nieksiążkę. O tej godzinie na osiemnastej zachodniej jest tak cicho, że słycać własne myśli i, w rzeczy sumie, słyszę własne myśli, a one właśnie sobie myślą, że muszę mieć naprawdę delikatny rozum, skoro się piszę na taką aferę i to z dzieckiem. No, ale idę naprzód mimo, więc myśli pewnie mają rację i jednak jestem ganc meszuce.

Kiedy docieramy na osiemnastą zachodnią kręci się tam nader niewielu ludzi. Jakiś tłuścioch podpira sobą ścianę budynku tuż obok centrum fabrycznego kwartału, ale na nasz widok postanawia udać się na spacer. To chyba strażnik biur kompanii węglowej i osobisty znajomy Harrego Konia, skąd bierze się jego chęć spacerowania.

Jeszcze w mieszkaniu Szafy Masarza uzgadniamy, że Harry Koń i Hiszpański John zostają na powietrzu jako czujki, a Szafa wchodzi do środka i przy asyście Drobniaka Izydora rozbiera sejf. Ja jestem tak jakgdyby na doczepkę, więc nikt mi nic nie mówi, gdzie i kiedy się ustawić przy robocie, ale że Szafa Masarz przydziela mi pakunek, wnioskuje że mam się go trzymać.

Wejście do biura firmy okazuje się pestką. Raz, że to parter, a dwa, że stróż zostawia frontowe drzwi otworem, o jak uprzejmie z jego strony. Ta uprzejmość ma zresztą ciąg dalszy, bo człowiek wraca z nieobecności i daje się związać w kij sztywny, z chusteczką na ustach i odłożeniem w ustronne miejsce; przecież nikt nie powinien go powiązać z rozbieraniem sejfu, nawet ewentualni ciekawscy.

Z okien biura można zobaczyć ulicę, a z ulicy przez okna można zobaczyć sejf, który stoi przy tylnej ścianie pomieszczenia i który Szafa ma rozebrać na życzenie typów z Brooklynu. Nad sejfem pali się elektryczna lampka, niby jedna i ómawa, ale każdy ktokolwiek mija biuro od frontu, na ten przykład stróż, może zaglądnąć do środka a wtedy widzi sejf jak na patelni, chyba że jest ganc ślepy. Szafa wyszczerza kły na widok stalówki, bo pod względem jej opisu Harry Koń spotyka się z prawdą: ustrojstwo nie jest jakimś sejfem nad sejfami szpikowanym pokrętłami a i gabaryt ma na ludzką miarę.

No i wchodzimy we czwórkę do biura — Szafa Masarz plus dziecię, Drobniak Izydor i ja. Szafa przystępuje do sejfu i rozwija książkę-nieksiążkę, która nagle okazuje się takim dziwnym parawanem. Otóż na jednej stronie ktoś namalował całą facjatę sejfu i teraz Szafa stawia tę facjatę na podłodze. W ten sposób zasłania prawdziwy sejf oraz samego siebie przed spojrzzeniami ewentualnych przechodniów z ulicy i wydziela sobie wygodną przestrzeń roboczą, bo rozbieranie sejfu zalicza się do czynności, które należy wykonywać w strefie komfortu.

Szafa Masarz kładzie Johna Loyolę Juniora na podłodze za tą malowaną facjatą — znaczy się nie na podłodze podłodze tylko na kocyku. Potem wyjmuje narzędzia z sakwy i bierze się za sejf. Jako że facjata nie jest specjalnie obszerna, ja i Drobniak Izydor przenosimy się do kąta, gdzie jest ciemno. Mimo wszystkiego można stamtąd śledzić wzrokiem, co Szafa robi. Powiem tak: chociaż nigdy wcześniej nie widzę, i nigdy potem nie chcę widzieć, profesjonalnego masarza sejfów przy robocie, ten Szafa jednak ma palce artysty.

Zaczyna nawiercać zamek szyfrowy dookoła, nader szybko i nader cicho, gdy zgadnijcie, co bez ostrzeżenia się dzieje: John Loyola Junior siada na kocyku i rozdziera dziób. To zdarzenie szarpie mi nerw czy dwa, a że już jestem nerwowo nadszarpnięty, mam ochotę palnąć czymś dziecię, żeby się ukoilo. Szafa natomiast wrzaskami się nie przejmuje. Odkłada narzędzia, podnosi małego i szepcze: „Cśś, cśś, cśś mój kotku niecnotku, tatuś jest tu, tu, tu”.

W danym otoczeniu okołoprawniczym brzmi to po prostu jak absurd nonsens mroczny żart. Co gorsza, nie robi najmniejszego wrażenia na Johnie Loyoli Juniorze, który wciąż drze się koncertująco — na tyle koncertująco, że Harry Koń i Hiszpański John podchodzą pod okno i zapuszczają niespokojne spojrzenia do środka. Szafa kołysze potomstwem wtę i wewtę i przemawia w języku doniemowlęcym, schodząc grubo poniżej linii z napisem „godność profesjonalnego masarza sejfów”. Wreszcie szeptem każe mi podać sobie paczkę.

No a co siedzi w paczce? Ano butelka mleka dla niemowląt i podgrzewany ronderek z cyny, który Szafa mi wręcza. Znowu szeptem dostaję polecenie, żeby znaleźć kran z wodą i napełnić ten ronderek. Odbijając sobie kostki i potykając się w ciemności znajduję jakiś sprawny kran w pomieszczeniu za biurem. Kiedy wracam, Szafa kuca z juniorem na ramieniu i wyciąga puszkę czegoś, co ludzie nazywają termokostką. Wsadza butelkę do rondelka, przykłada zapalniczkę do termokostki i zaczyna na niej podgrzewać ronderek.

Dokładnie tak jak łanie, które mają dzieci, przez cały czas gotowania trzyma palec w wodzie, a co minutę dwie pociąga łyżeczek z cumla, żeby sprawdzić, czy mleko dochodzi. No i pewnie dochodzi, bo Szafa daje butelkę małemu, ten chwyta oburącz okazję i spija śmietankę z interesu, a że musi przy tym zamknąć dziób, jego tatuś nareszcie wraca do roboty. Sam junior siedzi na kocyku i sączy butelkę z miną joga budda lotos zen.

Z biegiem godzin z biegiem chwil okazuje się, że albo robota jest trudna więcej niż ciut, albo narzędzia Szafy Masarza się zdarły i przerdzewiały, czy może są w cyklu życia produktu przemysłowego o tę jedną kołyskę za daleko, ponieważ Szafa łamie kilka wiertel i sływa potem, a nic nie posuwa się naprzód. Później mi wyjaśnia, że jest jednym z pierwszych gości w tym kraju, którzy rozbierają stalówki bez użycia fajerwerków, ale w tym celu zawodowy masarz musi znać konkretną stalówkę, żeby dowiercić się prosto do zamka. Ta stalówka jest i owszem stara, ale on jej nie zna, a poza tym wprawę ma ciut za sobą.

W międzyczasie John Loyola Junior kończy butelkę i znowu zaczyna marudzić, więc Szafa daje mu do zabawy jakieś narzędzie. Akurat tego narzędzia za moment potrzebuje i kiedy chce je odebrać małemu, ten wydaje skrzek koncertujący tak bardzo, że Szafa odpuszcza i dopiero po chwili udaje mu się podstępem rzecz wydostać z małych rączek. A czas ucieka.

Koniec końców Szafa Masarz się poddaje i szeptem informuje nas, że musi tym fajerwerkiem poluzować zamek. Nam w to graj, bo dosyć mamy stania po kątach i słuchania a gu gu juniora. Jeżeli o mnie chodzi, chcę przebywać w domu, w łóżku.

Wtedy Szafa zaczyna przetrząsać torbę w poszukiwaniu buteleczki z fajerwerkiem do potrząśnięcia zamkiem sejfu. Nie może jej za diabła znaleźć. Wreszcie odkrywa, że to John Loyola młodszy ją trzyma i właśnie obgryza korek. Oddaje, acz po niezłej walce.

Potem Szafa umieszcza fajerwerk w jednej z nawierconych dziur, tuż przy zamku, i wtyka zapalnik. Wcześniej jednak podnosi synka, wręcza go Drobniakowi i każe nam obu przejść do pomieszczenia za biurem. John Loyola Junior nie pała uczuciem do Drobniaka, czemu trudno się dziwić, bo na początku jakoś tak się rzuca w jego uścisku i nawet raz wyciąga górną nutę, ale zniemacka robi się nader cichy i chociaż dowodu nie mam, coś mi mówi, że Drobniak zatyka mu łapą usteczka.

Szafa błyskiem dołącza do nas na zapleczu i przejmuje Johna Loyolę Juniora. Ten odzyskuje mowę i wówczas przelotem myślę, że Drobniak ma jednak furę szczęścia, że maleństwo nie umie opisać tatce wszystkich przemilczanych szczegółów.

– Zadałem stalówce tylko trochę pieprzu — mówi Szafa Masarz — Huku będzie tyle, co palcami strzelić.

Ale sekundę później z biura dochodzi wniebogłosne łuuuup, cały budynek się giebie, a junior wydaje głośny śmiech, pewnie myśli że jest Dzień Niepodległości.

– Żdziebko za dużo nadzienia — stwierdza Szafa Masarz i biegnie do biura, a Drobniak i ja za nim. John Loyola młodszy, jak na małe dziecko, aż się zanosi od śmiechu. Biuro jest pokiereszowane więcej niż ciut, drzwi sejfu kołyszają się na zawiasach. Szafa nie traci jednak czasu i wsadza graby do środka, zabiera dwie paczki z gotówką i chowa pod koszulą.

Kiedy wychodzimy na ulicę, przybiegają Harry Koń i Hiszpański John, obaj w nerwach. Harry mówi do Szafy coś w ten deseń:

– Ki pies wam padł na mózgi? Chcecie podbudzić całe miasto?

– No cóż – powiada Szafa – dałem stalówce za dużo nadzienia, ale przecież nie ma jeszcze zbiegowiska. Ty i Hiszpański John idziecie na ósmą aleję, reszta na siódmą, proste? Wystarczy unikać podejrzanych ruchów, a wszystko będzie git.

Sądzę jednak, że Drobniak Izidor ma nader dosyć towarzystwa juniora, bo decyduje się iść razem z Harrym Koniem i Hiszpańskim Johnem. Ja, Szafa i jego dziecię ruszamy w kierunku przeciwny do ich kierunku. Wtem dwóch gliniarzy wypada zza rogu, wokół którego akurat okręca się Harry Koń.

Kto wie, może gliniarze słyszą grzmot nadzienia i chcą rzecz obadać. Kto wie, może nawet mijają Harrego Konia i spółkę, o ile tamci idą sobie po wielkiem cichu, tak jak im radzi Szafa.

No bo skąd niby gliniarze mają wiedzieć, że ktoś w tej okolicy rozbiera sejfy fajerwerkiem? Niestety, gdy tylko Harry Koń ich widzi, dostaje bandyckiego rozumu, wyciąga wielki wyrównywacz i zaczyna nim pylić. Hiszpański John wyciąga swój i idzie mu w konkurs.

Otóż zaraz wygląda to tak, że dwóch gliniarzy nadzianych pestkami leży na ulicy, ale inni nadbiegają ze wszystkich kierunków, gwizdzą ile sił w płucach i sami trochę pylą. Robi się straszne zamieszanie, zwłaszcza że ci akurat niegoniący kompanii brooklyńskiej biorą się za przeczesywanie terenu i znajdują kumpla Harrego, stróża związanego w kij, który im wyjaśnia w ogóle i szczególe, jak to jacyś dranie wysadzają sejf, którego on jest stróżem.

Przez ten czas Szafa Masarz i ja idziemy w kierunku przeciwnym, na siódmą aleję. Szafa trzyma Johna Loyolę Juniora w ramionach, a ten wydziera się że ho ho. Dzieciak pewnie myśli o wielgachnym łuuup, który tak trąca strunę jego duszy, i chce usłyszeć jeszcze więcej podobnych łuuup; w każdym razie bije własny rekord donośności. Szafa mówi do mnie tak:

– Nie biegnę, bo jeszcze jakiś gliniarz zacznie do mnie pylić i trafi małego. Poza tym mleko się w nim wytrzęsie i dostanie mdłości. Moja kobita zawsze powtarza, że mam nie trząść juniorem, kiedy zatankuje mleko do pełna.

– Wiesz co, Szafa – odpowiadam – ja osobiście nie tankuję mleka i mogę się wytrząść do woli, więc jeśli nie masz nic naprzeciw, za najbliższym rogiem daję szybszego dyla.

Ale na rogu siódmej alei, naszego celu, stoi jakiś tłusty sierżant i dwóch trzech gliniarzy. Jeden gliniarz ziaje, widać po dłuższym biegu, sprzedając sierżantowi wieści o tym, jak to ktoś w pobliżu wysadza sejf i przy ucieczce rozkłada ich dwóch kolegów.

No i posłuchajcie, wprost na nich idzie Szafa Masarz, który ma dziecko na rękę, dwadzieścia tyści-tycich pod koszulą i ciężką kartotekę za plecami.

Jest mi okropnie żal Szafy, a Szafie jest okropnie żal mnie i obiecuję sobie, że jeśli się wykaraskam z całej tej afery, do końca życia będę się trzymać już tylko pobożnych sług Pana, co to ubogim głoszą dobrą nowinę albo dwie. W tamtej chwili myślę też, że jednak dostanę miłszy wyrok niż Szafa Masarz, bo nie będę musiał siedzieć w kojcu do śmierci. Myślę też, jak oberwie John Loyola Junior, który wciąż się wydziera a Szafa uspokaja go swoim „tu tu tu, kotku niecnotku, tatuś jest tu”. Słyszę, jak jeden z gliniarzy mówi do nalanego sierżanta:

– Zgarnijmy tych gości. Mogą być zamieszani.

Policyjnymi krokami zbliża się koniec dla całej naszej trójki, kiedy sierżant podchodzi do Szafy. Ale zamiast położyć łapę na Szafie, tylko pokazuje na Johna Loyolę Juniora i współczująco pyta:

– Ząbkuje?

– Nie – odpowiada Szafa – Dostał kolki. Właśnie wyciągam konowala z łóżka na tę okoliczność i teraz idziemy do apteki po lekarstwa.

Słyszając to, co słyszę, doznaję wielkiego zdziwienia. Mianowicie nie jestem lekarzem, a jeśli nawet junior ma kolkę, to chyba jest mu z nią po drodze. Mam tylko nadzieję, że o dyplom mnie nie zapytają. Wtedy tłusty sierżant stwierdza:

– Kurczę, znam to cholerstwo. Trzy razy przechodziłem to w domu. Ale – tak powiada – rzecz prędzej mi wygląda na ząbkowanie, niż kolkę.

Potem Szafa, dziecko i ja idziemy w swoją stronę. Na odchodne jeszcze słyszę, jak sierżant ochrzania gliniarza, roniąc przy tym mnóstwo ironii:

– No, zostaniecie detektywem po prostu. Gość wysadza sejf idąc na skok z dzieckiem na rękę. Znakomicie pomyślane.

Na przeciąg kilku następnych dni Szafa Masarz gubi mi się z oczu. Już wcześniej wiem, że Harry Koń, Drobniaak Izydor i Hiszpański John wracają na Brooklyn w jednym kawałku, nie licząc paru zadrapań od pestek, które im posłali gliniarze. Jeśli już mówimy o gliniarzach, ci których uszkadzają, nie są uszkodzeni aż tak strasznie, a w dodatku mam duże widoki na to, że bez własnej inicjatywy, która jakoś nie chce przychodzić, Szafy nie ujrzę przez parę najbliższych lat. Ale pewnej nocy sam Szafa mnie znajduje i wydaje się czemuś cieszyć.

– Stary – mówi – Znasz mnie dobrze i wiesz, że grosza nie postawię na to, że gliniarz na czymś może się naprawdę wyznać. Ale ten tłusty sierżant, na którego wpadamy, to jednak ma kiepełą. Ma rację, że to ząbkowanie. Wczoraj Johnowi Loyoli naprawdę wyrzyna się pierwszy ząbek.

Tłum. Piotr Plichta

Drogi Czytelniku, dokonując wpłaty na cele statutowe Fundacji umożliwiasz zakup do polskich bibliotek nowych książek. Ostateczną listę zamówionych przez nas pozycji współtworzą studenci i pracownicy naukowci. Kupujemy książki obcojęzyczne, najczęściej specjalistyczne, drogie i trudno dostępne w bibliotekach. Dzięki temu wielu studentów i pracowników naukowych mogło napisać ciekawsze prace dyplomowe i poszerzyć swoje horyzonty.

I ty możesz skorzystać z książek, które już przekazaliśmy bibliotekom. Ich aktualną listę i lokalizację znajdziesz w zakładce „przekazane książki” na stronie www.fundacjaalbedo.pl

**Nawet drobne datki bardzo pomagają nam w naszej misji.
Dziękujemy za każdą przekazaną nam złotówkę!**



FUNDACJA

ALBEDO

KUPUJEMY SPECJALISTYCZNE KSIĄŻKI
DLA POLSKICH BIBLIOTEK